

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

N^o

WARSZAWA

DNIA 5 PAŹDZIERNIKA 1913 R.

40



Paweł Gauguin.

Z cyklu: „Contes barbares“.



Artur Gruszecki napisał nową powieść. Tym razem jest to „Kandydat”. A więc jeszcze jedna powieść Artura Gruszeckiego—jeszcze jedna książka, której nigdy w życiu nie przeczytam. Znam tytuł i liczbę stron. Trzysta czterdzieści. Ośmielam się pisać o „Kandydacie” choć go wcale nie czytałem. Mam tę śmiałość!!!

Albowiem jest dla mnie faktem, nie ulegającym żadnej wątpliwości, że „Kandydat” ów zawiera trzysta czterdzieści stron wody. Jest tego, co prawda, mało na ocean, lecz w każdym bądź razie tworzy to sporą kałużę. Siedzę sobie przy biurku i wzrokiem płynę po kałużę „Kandydata”. Tak przyjemnie jest patrzeć na wodę! Jakże słodko jest zanurzać ręce w ciepłej toni, kładąc je na powieści Gruszeckiego. Można jej nawet nie otwierać. Okładka jest szara, zupełnie jak nasza Wisła.

Pomyśleć tylko, że będzie książka Artura Gruszeckiego, najpłodniejszego z polskich grafomanów, rozpędzała nudę długich, zimowych wieczorów. Tyle ludzi będzie wypijało od razu, całymi szklankami ciepłą, obrzydliwą wodę!

Ja wolę patrzeć! Gdy bardzo zmrużę oczy, kto wie, może mi się kałuża wyda cicha, senna zatoka. (a)

DOWCIPNY PEER.

Peer*), stary nudziarz od lat wielu włóczący swój artretyzm i podagrę po galicyjskich kurtortach, Peer galicyjski kuracjusz nudny i szary jak galicyjskie życie o zepsutym żołądku przez podłe jedzenia knajp galicyjskich doszedł do okropnego dla ludzkości wniosku, że posiada zmysł obserwacyjny.

I Peer krótkowidz, nudziarz i hipokondryk, ciężko utykając na zartretyzowaną nogę wdrapał się na parnasowe wzgórze, pod przyłbicą małej, czerwonej książeczki, którą nazwał operetkowo „Z małego zdrojowiska”. Peer uważa, że jest dowcipny, Peer jest prawie pewny, że nikt inny, jak tylko on właśnie, powinien drwić z biednych reumatyków.

*) Peer „Z małego zdrojowiska”. Kraków — G. Gebethner i Spółka.

Właśnie Peer drwiny swe w książce utrwalone przysłał nam z prośbą o ocenę.

Lecz czyż dowcip należy oceniać? Z dowcipu — trzeba się śmiać. To też najlepiej uczynię, gdy przytoczę w całości typowy „dowcip” Peera. Proszę się tylko nie zanosić od śmiechu. A więc — czytajcie.

Więcej.

- Czy panią boli jedna noga?
- Nie, więcej.

Zdaje się, że Peer powinien być teraz zadowolony. Jego talent został należycie oceniony. Teraz może Peer zabrać się do opracowania drugiej serji „dowcipów” „Z małego zdrojowiska”. Może nawet w ten sposób stanie się kiedyś poczytny, jak p. Gruszecki. (a)

Zaiste ciekawy objaw... Gdzie, jak gdzie, ale w Warszawie powtarza się on dość często. Ni ztąd, ni z owąd wyrasta kwiat pięknej barwy i ni stąd ni z owąd zaczyna wydawać zapach asafetydy.

Tak np. „Miniatury” przy ul. Mokotowskiej. Nie jestem apostołem purytanizmu, ani zwolennikiem zapiętej pod samą szyję sukni, ale, mimo wszystko, ta „Poczta w lesie” (operetka dość banalna zresztą) w podobnej reżyserji kwalifikuje się raczej do trzeciorzędnego tinglu na podejrzanej ulicy. Powiedzmy nawet więcej: człowiek, który cierpi na zdeklarowaną anemię, zarumieni się po same uszy, ujrzawszy postać i giesty pana opiekuna, wychodzącego z „rozkosznej” sypialni, powiadam, zarumieni się, o ile poprzednio nie zaśnie z nudów.

Rzecz dziwna... Kierownikiem literackim repertuaru „Minjatur” jest p. Władysław Jastrzębiec-Zalewski, literat skądinąd utalentowany. Skąd więc te przykre dyssonanse, sięgające już granic niesmacznej porografji... (pomijając wiele innych skaz na obecnym programie). Prawdopodobnie, że pan Zalewski musi, niestety, liczyć się ze zdaniem dyrekcji, w skład której wchodzi ludzie absolutnie niekompetentni, pozbawieni

tych niezbędnych kwalifikacji, jakich każdy teatr wymaga.

A jednak gusty publiczności warszawskiej nie są tak prymitywne, jakby się zdawało i najwyższy czas, aby się z tym liczyć. (k)



Czerwony, jarzący się od światła, elektrycznowłosy smok — tramwaj mknie cieniście Alejami. Żywy symbol stroju socjalistycznego.

Z motorniczym rozmawiać nie wolno.

Ale on odzywa się pierwszy:

— Nie poznajecie mnie?

Leśne oczy, ukryte w głębi modnego kapełusza z wiankiem piór *paradise*, utkwione gdzieś w okolicach bucika pod białym zamszowym *guetre'em* podniosły się zdziwione...

Sztyletowe pchnięcie nagłego wspomnienia.

— Nie poznajecie mnie?..

— ??

— „Prosty“, „Ludwik“ z Jerozolimy...

— Ach, przecież to wy...

— Jaka z Was teraz burżujka...

— Cóż u Was słychać?..

O czym z nim mówić, dzisiaj...

Było to tak dawno niegdyś... On pozostał ten sam... sołdecki szynel i grube buciska żenują ją. Te same męzkie usta, rozdawczyni...

Tramwaj mknie Nowym Światem. Z motorniczym rozmawiać nie wolno. Ale rozmawiali. Ona taka inna, on niezmienny weale.

Tout passe!

Krakowskie... Automobil pędzi w Aleje. Żywy symbol indywidualizmu kapitalistycznego. Szofer porwał za hamulec...

Zapóźno!

Trzask zderzenia...

W automobiliu był jej narzeczony...

Oto leży z rozbitą głową...

Tout casse!

Policja spisuje protokół wśród gwary, turkotu, okrzyków, krzyżowych pytań:

Co się stało? Co się stało?

— Panowie, proszę pokornie odstąpić, panowie ja bardzo proszę...

Tout lasse!

Musiała pojechać dorożką...

III.

Dyrektor pokłócił się z aktorem. Aktor zerwał kontrakt. Zdawałoby się, że jest to ich sprawa prywatna jednego i drugiego, którą mogą sobie załatwić w sądzie. Nic do tego prasie i społeczeństwu.

Zdawałoby się tak, na zwykły rozsądek rzecz wzięwszy. Inaczej jednak rozumuje jedno z poczytnych w Warszawie pism, które uważało za stosowne głośno i tendencyjnie zatrabzić, jawnie stając po stronie dyrekcji...

Wystąpienie przebrzmiało bez echa...

Zadługi nos, będący chlubą Bergerca'ego często bywa powodem... kompromitacji.

„Gazeta 2 grosze“ zakazała surowo Stefanowi w Żeromskiemu pisać dla młodzieży.

Cóżbo Żeromski potrafi? Cóż ma on do powiedzenia młodzieży?

Gdyby tak jeszcze poterminował parę lat u p. Sadzewicza, możeby tam jakieś zdolności się znalazły.

„Popioły“, „Syzyfowe prace“.

Et, takie sobie, zawiele pesymizmu... Tym tonem przemawiają o Żeromskim godni przyjaciele *compach majorität*.

Bydło!

Organ p. Suworina oburza się na to, że część Polaków nie zna języka rosyjskiego. „Now. Wr.“ pragnęłoby, by Rosjanie i Polacy mieli język „wspólny“...

Publicysta petersburskiego półurzędowca mógłby zawczasu opracować gramatykę mowy Polusztannikowa.

Prowincja angielska Ulster wszczęła rokosz przeciwko wprowadzeniu home-rul'u w Irlandji. Rokoszanie z Carsonem na czele zorganizowali rząd prowizoryczny i dwunastotysięczną armję. Fanatyzm protestancki odgrywa w tej ruchawce znamioną rolę. Prasa liberalna, kpiąc z arystokratycznej kompanji zbuntowanych lordów, wątpi zarazem czy arystokracja będzie chciała wyruszyć w pole na bój z wiatrakami.

W tych dniach, bo 27 września odbył się zjazd b. wychowawców ś. p. Pankiewicza. Komitet organizacyjny zjazdu rozesłał oryginalne zaproszenie, w którym między innymi czytamy:

„Tem więcej teraz, gdy w lata się posuwamy, *gdy* z licznej a drogiej nam rzeszy „profesorów i kolegów *coraz więcej* ku ogólnemu żalowi naszemu *ubywa*, — *miło nam będzie* zebrać się i dłoń sobie uściśnąć.“

Ś. p. Pankiewicz musi ogromnie się smuć na tamtym świecie, że siew stylistyki polskiej w jego szkole padł na kamienistą glebę.

Że u nas w Polsce do pisania o sztuce powołanym się czuje każdy — jest to rzecz od dawna stwierdzona. Że właśnie najbardziej powołanymi czują się ludzie najmniej wspólnego ze sztuką mający — wiemy i o tem. Cały szereg t. zw. krytyków artystycznych z Bożej łaski, mając pojęcie ogółu o sztuce — zaśmiecając łamy dzienników i czasopism polskich swoimi

artykułami, w których jak oliwa wypływa na wierzch nieuctwo, blaga i bezczelna arbitralność „znawców”. Tacy panowie Piątkowscy, Wankowie, Brezy *et consortes* wprost zatrują atmosferę artystyczną Warszawy, obniżając jednocześnie poziom aspiracji artystycznych szerszego ogółu — tak że działalność ich można wręcz uznać za anti-kulturalną i wysoce szkodliwą dla rozwoju sztuki w Polsce.

U nas już tak zawsze było: szewe chce pisać o sztuce, zaś artysta z konieczności buty szyc musi. Co z tego wynika — mamy świeży przykład:

W numerze 198-ym „Kurjera Warszawskiego” p. Wiktor Gomulicki stawia „nowy problem estetyczny”. Problemem tym ma być stosunek fotografii barwnej do malarstwa. P. Gomulicki wskazuje na wielkie niebezpieczeństwo, jakie zagraża artystom-malarzom ze strony rzemieślnika-fotografa. Z całą naiwnością wykrzykuje p. Gomulicki:

„Można już przyjąć za pewnik, że wszelkie „natury martwe” malowane tracą rację bytu wobec natur martwych fotografowanych” i dalej:

„Niegdyś świetnym malarzem śniegu, za-

równie zmarzniętego jak tającego, był Juljan Fałat. Odtwarzał go akwarelą, która do tych subtelności właściwszą jest pono, niż farby olejne. Ale i w najlepszych akwarelach Fałata nie było tej nadzwyczajnej, zdumiewającej prawdy i świeżości kolorów, tego słońca i powietrza, co w tem odbiciu, będącem produktem martwej szklanej soczewki i martwej uczulonej płytki — kierowanych, co prawda, ręką żywego, myślącego człowieka. Krótkość ekspozycji pozwoliła nawet na utrwalenie kilku lejących wron, co znakomicie pejzaż ożywiło”.

W tem miejscu zarumiemy się ze wstydu, że jeszcze można coś podobnego usłyszeć i to nie gdzieś na zapadłej plebanji o wiorst sto od kolei odległej — lecz z łamów najpoczytniejszej gazety polskiej.

To już nawet przestaje być zabawnem.

Dlaczego p. Gomulicki nie zajmie się np. kwestją ogrodnictwa lub wpływem telefonów na moralność pensjonarek? Albo wykazaniem wyższości tramwajów elektrycznych nad konnymi? Jesteśmy pewni, że stałoby się to z większym pożytkiem dla społeczeństwa, niż stawianie wątpliwej wartości „problemów estetycznych”. (gl.)



Z CYKLU: „CZTERY PORY”.

STAROŚĆ.

*A w niedzielę, w słoneczną niedzielę,
Sama jedna siedzę z książką w dłoni...
Na nieszpory dzwon w kościele dzwoni, —
Z kim się moją goryczą podzieli?..*

*Nikt ubiegłych lat swych nie dogoni!
Sama sobie cichość moją ścielę,
Ja, com szczęścia miała tak niewiele! —
...Któż dziś o mnie dba? Któż mnie obroni?*

*W starym kufrze na dnie leżą listy,
Przewiązane wstążeczką czerwoną...
Jest w nich wyraz „kocham” — znak ognisty!*

*Ach, niedziela, święto!.. Drży mi łono,
Głodem wzruszeń, głodem co nieczysty!
...Papierowe maki płoną... płoną...*

Jakób Appenzlak.



GIOVANNI BOCCACCIO.

Jeden jeszcze jubileusz. Święcą go Włosi z okazji 600-nej rocznicy urodzin pierwszego swego nowelisty i powieściopisarza, jednego z najgorliwszych pionierów humanizmu, a przytem poety niepośledniej miary, Boccaccia.

Rzecz godna uwagi: ten, który został później twórcą najdoskonalszego wzoru prozy włoskiej, nie był Włochem czystej rasy. Giovanni Boccaccio urodził się w roku 1313, w Paryżu, z matki Francuzki. Był synem nieprawego łoża, co miało stać się skrętnie tajoną tragedją jego pierwszej młodości. Ojciec Boccaccia, rodem z Certaldo, był z zawodu bankierem i z Florencji, gdzie stale zamieszkiwał, częste do Francji przedsiębrał podróże. Prawdopodobnie za jedną ze swych bytności w Paryżu, po śmierci matki Boccaccia, zaopiekował się chłopcem i zabrał go ze sobą do Florencji.

Pierwsze lata dziecięce i młodzieńcze, spędzone między ojcem zgryźliwym i cheiwym zysku a obojętną macochą, pozostawiły na Boccacciu niezatarte ślady. W dziełach jego młodości w *Filocolo*, *Ameto*, a także w *Genealogiae Deorum*, znajdujemy liczne aluzje do owego okresu, stanowiące cenne dane autobiograficzne. Zarówno tutaj, jak i później we *Fiammette*, Boccaccio zwraca się często z gorzkimi wyrzutami do swego ojca, który nie rozumiał tkliwej natury chłopca, tak obcego otaczającej go atmosfery pieniężnych porachunków, bankructw i kłótni kupieckich.

A jednak stary Boccaccino snadź kochał syna po swojemu i po swojemu dbał o jego przyszłość. Gdy wszelkie wysiłki mające na celu nakłonienia chłopca do zajęcia się handlem spełzły na niczem, postanowiono wy kierować go na adwokata. Młodziutki Giovanni został tedy wyprawiony do Neapolu, gdzie miał oddać się studjom prawnym. Tu jednak piętnastoletni chłopiec, który już w latach dziecięcych zdradzał zamiłowanie do poezji i w ósmym roku życia układał bajeczki rymowane, wpadł w środowisko zgola inne, niżby to pieczołowitość ojcowska obliczyć mogła.

Neapol był w XIV wieku miejscem, gdzie po raz pierwszy, na dwieście lat przed pełnym rozkwitem Renesansu, rozbrzmiewać poczęło hasło odrodzenia starożytności klasycznej. Na gruncie rdzennej tradycji greckiej, która w istocie we Włoszech południowych nigdy nie wygasła była doszczętnie, krzyżowały się wpływy wschodnie, francuskie i prowansalskie. Na dworze króla Roberta, obok elity rycerstwa, gromadziły się conajprzedniejsze umysły owej epoki. Za-



Giovanni Boccaccio.

mek jego, Castelnuovo, stał się istnem centrum literatury, nauki i sztuki.

Boccaccio, podobnie jak Petrarca, po paru latach pobytu w Neapolu, stał się jednym z najgorętszych panegirystów tego księcia, który z władcym absolutyzmem pana feodalnego łączył upodobania artysty i chaotyczną nieco erudycję uczonego-amatora. Na dworze króla Roberta poznał najznakomitszych ludzi tego czasu. Mistrzami jego stali się zwłaszcza Andalone di Negro, który obudził w nim zamiłowanie do astrologji i Paolo de Perugi, bibliotekarz królewski, któremu w znacznej mierze zawdzięcza Boccaccio swą znajomość starożytności klasycznej i mitologii.

Ale wpływ decydujący na resztę życia Boccaccia wywrzeć miała kobieta. Była nią córka naturalna króla Roberta, Marja d'Aquino, przedmiot jedynej w jego życiu, gorącej, bezprzykładnej miłości, ta sama, którą pod postacią Fiammetty opiewał we wszystkich niemal dziełach swej młodości, a do której i w późniejszych latach wspomnieniem jeszcze powracał. Datę pierwszego z nią spotkania określa Boccaccio w sposób nader zagmatwany. „Było to — pisze — w Wielki Piątek, w pierwszych dniach wiosny, kiedy wóz Apollina przybywał do konstelacji Barana, koło szóstej godziny dnia... Syn Jowiszowy składał wizytę siedzibie Plutona...“ Obliczenia astronomiczne pozwalają twierdzić z wszelką pewnością, że dniem owym był 30 marca 1336 roku. Niewiadomo o ile okoliczności tego spotkania, opowiedziane we *Fiammette* są zmyślone, lub prawdziwe. Jest jednak rzeczą pewną, że ujrawszy po raz pierwszy Marję d'Aquino u grobu Wirgiliusza, Boccaccio zapalał ku niej gwałtowną miłością i że to spotkanie miało zadecydować o przyszłych jego losach.

Pod wpływem Marji d'Aquino napisane zostały wszystkie niemal dzieła młodości Boccaccia: *Filocolo*, *Filostrato*, *Amorosa Visione*, *Ninfale Fiesolano*. Jej poświęcona była zwłaszcza *Fiammetta*, owe dzieje niebawale wielkiej niepołamanej miłości, owa powieść idealna i namiętna, zmysłowa i sentymentalna, pełna subtelných a głębokich spostrzeżeń psychologicznych, istny prototyp Flaubert'owskiej *Madame Bovary*, potężniejszy może w swem naiwnem zagmatwaniu od arcydzieła powieściopisarza fraucuskiego. Wreszcie, jednym z główniejszych motywów napisania „Dekameronu“ była również chęć przypodobania się księżniczce Marji, kiedy miłość przestała już być dla Boccaccia krzykiem serca

i stawała się z wolna tematem poetyckim, wspomnieniem przeżyć głębokich.

Marja d'Aquino była muzą młodzieńczych lat Boccaccia. Ale miłość minęła, serce wychłódo, zabliźniły się rany i nadszedł wiek męski. Trzeba było ręki przyjaciela, aby mózg kroczyć z podniesionem czołem przez resztę żywota. Tę dłoń przyjazną wyciągnął do Boccaccia najgodniejszy z jego współczesnych, Petrarca. Ten, starszy od Boccaccia o lat dziewięć, miał stać się dlań więcej niż przyjacielem, bo mistrzem, bożyszczem, powiernikiem, doradcą, a jednocześnie nieodstępnym niemal towarzyszem. Pod jego wpływem Boccaccio osiedliwszy się po śmierci ojca we Florencji, oddaje się z całym zapalem nauce i literaturze. Utrzymuje u siebie Leoncjusza Pilata, przygodnie spotkanego włóczęgę-wykolejencę, który uczy go języka greckiego; sprowadza z Grecji pierwsze kopje Iliady i Odyssei; na własny koszt każe wykopywać i przepisywać rękopisy starożytne. Wspólnymi siłami pracują gorliwie nad odrodzeniem starożytności klasycznej.

Kiedy Boccaccio, zrujnowany, ręce opuszcza i oddaje się rozpacz, Petrarca przychodzi mu z pomocą. On to również zatrzymuje go we Florencji, kiedy ogarnięty szalem mistycznym, za namową pewnego kartuza, zamierza uciec od świata i zamknąć się w klasztorze.

Okolo roku 1370 Boccaccio osiedlił się na stałe w Certaldo, gdzie pisze swe dzieła łacińskie i komentarz do Dantego. Gdy utworzona została we Florencji katedra poświęcona twórczości Dantego, powołano na nią Boccaccia. Między nim a Petranką nawiązuje się wymiana listów, z której powstała najciekawsza zapewne w dziejach literatury korespondencja. Niedługo jednak trwała ta uczta duchowa: Petrarki rychło nie stało, a Boccaccio, schorowany i osamotniony, w rok po nim, dn. 21 grudnia 1375 r. schodzi do grobu.

Boccaccio dziełami swemi i życiem wywarł wpływ zgoła nieobliczalny na literaturę i ruch kulturalny swej epoki i czasów późniejszych. Język jego, oratorski raczej niż naracyjny, pozostał na wsze czasy jako wzór pięknej prozy włoskiej. Brak nam miejsca, abyśmy wdawać się mogli w szczegółową analizę jego twórczości. Powiedzmy tylko, że *Dekameron* przyćmił niesłusznie sławę innych jego dzieł i że *Fiammetta* sama godną byłaby stanąć obok najcenniejszych arcydzieł literatury wszechświatowej.

W *Dekameronie* jednak lepiej niżli w innych dziełach, Boccaccio uwydatnił swą werwę niebywałą, nerw satyryczny, łatwość wyrażenia—całą pełnią swego talentu. Jeśli dzieło to zaliczone zostało przez późniejsze pokolenia do literatury poniekąd „zakazanej“ i umieszczone na indeksie dobrych obyczajów, nie należy zapominać, że powstało w epoce, kiedy dobre obyczaje w nader niskiej były cenie.

Boccaccio nie liczy się wprawdzie ze względami przeciętnej przyzwoitości, ale nigdy nie bywa istotnie sprośny, nigdy nie lubuje się w zepsuciu. A wśród stu opowiadań, które stanowią cykl *Dekameronu*, znajdzie się niejedno, gdzie, jak w owej nieziemskiej historii o Tytusie i Gissipie, tryumfuje cnota, przyjaźń, sprawiedliwość.

W głębi — twórczość Boccaccia to ciągle zmaganie się wiary z nauką, serca z rozumem, cecha, charakteryzująca nader dosadnie pierwszą jutrznię Odrodzenia włoskiego. Jasno wypowiada to Petrarca:

Nè si, nè no, nel cuor mi suona intero.

Lecz Boccaccio, mniej zapewne niżli Petrarca uczony, jest bardziej ludzki. Oto dla czego, jego analiza psychologiczna, mniej wyrafinowana, jest jednak prawdziwsza, a harmonja wewnętrzna między formą starożytną a uczuciem współczesnem — doskonalsza.

Zdzisław Milner.





Henryk Matisse.

Taniec.

DZIECI PROTESTU.

Trzy wieki, znaczące cyfrą kolejne etapy rozwoju nowoczesnej demokracji: koniec osiemnastego, dziewiętnasty i początek dwudziestego przeznaczyły rosnącym potworom wielkich miast panowanie nie tylko nad potrzebami ekonomicznymi, lecz i nad duchem ludzkim. Straszliwe skutki tych rządów w postaci antagonizmów społecznych, powszechnego zmaterjalizowania, niwelacji szacownych cech osobowości ludzkiej, mnożenia się tandety umysłowej, korupcji moralnej, kołtuństwa, szablonu wywołały naturalne u jednostek o wyższym ciężarze gatunkowym wybuchy protestu, bardzo często skierowane pod fałszywym adresem.

Już Rousseau w połowie osiemnastego wieku w imię płomiennozłotych praw serca powstaje na kulturę historyczną, widząc w niej przewagę zła nad dobrem.

(Si le retablisement des sciencies et des arts a contribué à épurer les moeurs).

Autor rewolucyjnych ongi dzieł w paradoksie powrotu do natury poszukuje ucieczki przed nieprzyjnym ustrojem społecznym, który człowieka, zrodzonego wolnym zakuł w kajdany musu życiowego, nędzy i przestępstwa. Iluż po Janie Jakubie arty-

stów, filozofów, moralistów powstaje z żagwią buntu przeciw Molochowej łapie tejże historycznej kultury, precedzonej przez ściek wielkowiejski, stokroć wstrętniejszej, bo bezmyślniejszej i bezstylowszej odartej z łachmanów legendy o poezji prawa i prawie poezji.

Malarz Gauguin ucieka dwukrotnie z Francji na wyspy Tahiti, by rozpocząć ognistymi barwami myśleć od początku. Zostawia swoje ukochania i troski paryskie, aby znaleźć ukojenie w objęciach złocisto-skórej Noa-Noa, egzotycznej jak Liana, pierwotnej, jak łań i naiwnej jak dzieciństwo.

Tołstoj przed paru laty opuszcza rodzinę, gdyż zamierza w pustelniectwie odpocząć od fałszu i konwenansu cywilizacji. Nieprzeliczony jest zaprawdę szereg tych, którzy nie porzucając się na układ swego osobistego życia zadokumentowali swój protest na płótnie lub papierze. Opozycja socjalistyczna skierowała swe strzały przeciwko mieszczaństwu, klasie uprzywilejowanej, a tem samem odpowiedzialnej za marnowanie życia. Myśliciele zbliżeni swymi sympatjami do konserwatyzmu rozciągnęli zakres tego zarzutu na całą demokrację.

Jedni i drudzy budując niezbyt szczęśliwymi metodami swoją doktrynę omylnie przedstawili przyczyny ogólnego upadku życia i niedorozwoju typu ludzkiego.

Socjaliści nie potrafili obronić logiki swego zasadniczego pojęcia: klasy, krytycy demokracji ożywieni pięknym nieraz ideałem jak np. przed dziesięć laty u nas Miriam—hasłem sztuki—nie zrozumieli psychosocjologicznej wartości koncepcji szczerze demokratycznej, nie dostrzegli tej świętej i wielkiej zgrozy, którą miewają poruszenia ludu, tłumu, gminu, zbiorowości ludzkiej.—Z synów niezadowolenia, dzieci protestu przeciwko mieszczańskiemu stopniowi i skołowaceni, przeciwko przyziemnemu oportunizmowi burżuazji w znaczeniu: „j'appelle bourgeois quiconque pense bassement“ (Flaubert) niezwykle zajmującym zjawiskiem był Walt Whitman.

Ukochawszy jednak sztukę i demokrację Whitman umiał połączyć je w swoim ja, przyczym szczęśliwie uniknął uroczystego kapłaństwa pierwszej i doktryneryzmu drugiej. Czy może, bowiem, doktryner lub człowiek mający pretensję do jasnowidztwa napisać podobny wiersz. Posłuchajcie:

Gdy czytam życiorys wielkiego człowieka,
Powiadam: „czyliż tu całe życie zawarte?
Czyliż gdy umrę, ktoś tak i moje życie opisze?
(Jak gdyby ktoś o mem życiu coś wiedział?)
Bo wszak i sam o swoim życiu nie wiem,
Prócz niewyraźnych śladów i przeczuć, prócz krę-
[tych ścieżek,
Na których chcę siebie odszukać“.

Poeta nie przeczuwał nawet, w jak wielkiej mierze najdrobniejsze szczegóły życia jego staną się przedmiotem licznych roztrząsań i polemik. Niezbyt dawno *Mercur de France* ogłosił skandaliczne rewelacje dotyczące ceremonii pogrzebu Whitmana.

Oryginał ten,—podług francuskiego piśma,—miał pozostawić projekt szkaradnego pomnika, na który za życia przeznaczył 20,000 franków swoich oszczędności. Po śmierci Whitmana na jego własne życzenie, był wynajęty olbrzymi plac, zazwyczaj zajmowany przez wędrownie cyrki. Plac otoczono płotem pomalowanym na zielono, wewnątrz zaś zbudowano trzy pawilony: jeden w celu przechowania zwłok poety; drugi na kuchnię; trzeci na skład napojów gorących jak np. Whisky, piwo i t. d. W ceremonii

wzięło udział 3,500 osób, które się zjawily bez zaproszenia.

Na placu przy dźwiękach trzech orkiester zebrali się wszyscy przyjaciele zmarłego: poeci, dziennikarze z New-Yorku, politycy z Waszyngtonu, ex-fermerzy, poławiacze ostryg, konduktorzy, byłe kochanki zmarłego pisarza, jego comrados'i (wyraz, którym Whitman nazywał młodych ludzi, obdarzających go względami, niestety! poeta nie był wolny od namiętności przeciwnych naturze) lekarze wojskowi, szarytki, rodzice rannych na wojnie południowo-północnej i t. d.

Homoseksualiści stawili się na pogrzeb tłumnie, szczególną uwagę zwracał na siebie Peter Conelli, irlandczyk, konduktor tramwajowy, który miał szczególnie podobać się Whitmanowi. Na pogrzebie ustawiono całe stosy melonów. Kolei przemówień nie było. Każdy mówił to, co chciał i kiedy chciał. Mówiono po kilka osób naraz. Odczytano mnóstwo depesz od poetów z Europy i Ameryki; były pomiędzy nimi i wierszowane.

Wszyscy obecni pili na umór.

Bójek wszczęto ze 60. Policja zaarrestowała 50 osób. Festyn trwał od świtu do zachodu słońca. Po zachodzie słońca długi orszak z muzyką na czele, grającą pieśni uliczne ruszył na cmentarz. Sześciu pijanych tragarzy dźwigało trumnę demokratycznego poety i t. d. i t. d.“

Opis ten wypełniony po brzegi potwarzą i oszczerstwem*) oburzył zwolenników poety, którzy w tymże *Mercur de France* charakteryzowali Whitmana jako człowieka niezwykle cnotliwego. Autor rewelacji twierdziły sprostowania bezczelnie kłamie, by zdyskredytować wobec łatwowiernych popularnego pisarza.

Późniejsze jednak dochodzenia ustaliły, że niektóre posądzenia redakcji *Mercur de France* nie były gołosłowne...

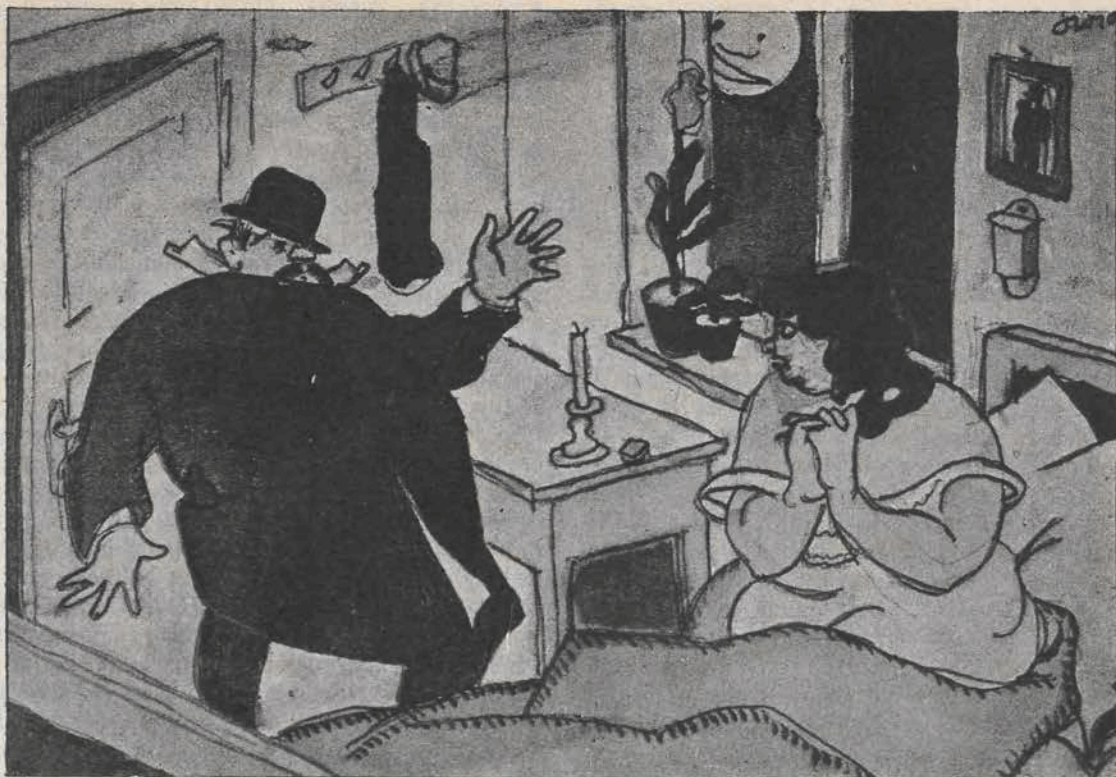
Tak, czy inaczej, jeśli pozostawimy na stronie kwestję moralności Whitmana przedstawioną nader tendencyjnie z jednej i drugiej strony, uderzy nas w amerykańskim poecie indywidualność wybujała i niepopolita. (d. n.)

Jerzy Jankowski.

*) Sensacyjne szczegóły pogrzebu Whitmana podał w „*Mercur de France*“ niejaki p. Apollnaires zamieszany do słynnej sprawy wykradzenia posążków z Luwru.

POWRÓT TATY.

Rysował A. Świdwiński.



- Przestałbyś pić stary łajdaku, rośnie ci kaldon z dnia na dzień.
- Tto weaale nie jest brzrzech, to są ppiersi...

PRZED LATY.

Rysował A. Świdwiński



- Ożenisz się ze mną waćpan?.. Czy dobrze?
- No, a co później aśčko? Za starym na żeniaczkę.
- Później... Wydaj mnie za mąż jegomość za porucznika, jakto imć pan Korzeniowski radzi w „Starym Mężu“...

MIASTO.

Miasto jest ogniskiem uderzających kontrastów — przepychu i nędzy, urody i potworności, chwały i potępienia. Na tej wielkiej arenie uderza nierówność losu, który spada na ludzi. Jedni są tu wybrańcami, inni — upośledzonymi. Nietylko zalety duchowe, lecz i ślepy traf tu rozstrzyga, czem ma zostać człowiek. Miasto wznosi się na nawozie nędzy, na materiale ludzkim, zepchniętych w dół, żyjącym dychawicznie z dnia da dzień wśród przerażającej niepewności jutra i z lichego zarobku. Na przedmieściach, w dzielnicach fabrycznych i koło tablic z ogłoszeniami, wystawianymi przez wielkie dzienniki, uważny spozrzegacz dojrzy nieraz „le désespoir muet de la main vide d'oeuvre” — niemą rozpacz bezrobocia w oczach... Od wielkiej gromady biedaków raz w raz odrywa się jednostka i stacza w otchłań najdzikszego upodlenia. Kto ma odwagę zapuścić się w labirynt uliczek i podejrzanych zaułków kto przestąpi progi cuchnących szynków znajdzie się czasem pośród ludzi zatłuszczonych, żerujących, rzygających przekleństwami lub siedzących w ponurem milczeniu. To ci, których już porwał mętny wir alkoholu i występku. Dokończą życia w więzieniach, w bójkach ulicznej, na barłogu przytulku noclegowego...

Nad nimi stoi rzesza liczniejsza mniej zbrodnicy lecz również nieszczęśliwa. To alkoholicy, robotnicy wykolejeni, włóczący z upodobania, chorzy neurastenicy, ludzie niefortunni, którym się nie wiedzie, ci, których choroba zepchnęła w nędzę, a nędza i wycieńczenie — dźwignąć się nie pozwala. Cała ta liczna armia ludzi bez pracy, rozpróżnionych, fantastycznych, nieraz cofających się przed ordynarną robotą dlatego, że „pochodzą z dobrej rodziny”, chuchraków i niedołęgów wraz z kobietami upadłymi uwięzionymi dziewczętami i prostytutkami dostarcza zapewne głównego kontyngentu samobójców. Wielkie miasto jest zabójcą, który sprząta swe ofiary cicho. Kilko-wierszowa wzmianka w dzienniku — oto wszystko: Czasem poeta kiedy wspomni o tych ginących: „Toż, toż — twój nurt nieczuły, ponura Sekwano! Pod twemi mostami, tonącemi w wyziewach niezdrowych, ileż to ciał przeszło — martwych strasznych gnijących — ciał, których dusze Paryż pomordował (Verlaine) Inny poeta powie: „La ville est de pierre en passant de la vie“ (René Ghil), podkreślając w tych słowach straszną nieczułość miasta, jego obojętność na wszelką tęsknotę uczuciową jednostki. Dzielnice przemysłowe, gdzie „zbiegowiska kolosów fabrycznych, wlepiwszy w siebie martwe spojrzenie rozbitych okien symetrycznych dzień i noc dymią i chrapią (Verhaeren) są tak potwornym połączeniem grozy i martwoty, czerwonego blasku i ciemności, miotania się i charkotania, łoskotu rozdzierającego uszy, syku, łomotania, śwędu i dymu! Odnaleść i tu można piękno w surowej powadze prac, w rygorze, w ładzie,

w lśniącym zimnym przepychu stalowych potworów — maszyn. Oto wewnątrz hali z czerwonej, nie tynkowanej cegły obraca się wielkie koło rozpędowe. Lśni jak srebrne i rozrzuca naokół rodzaj tęczy migotliwej. Napis na hali ostrzega że wejście do apartamentu koła jest surowo wzbronione. Jeden człowiek, którego twarda kurta lśni od smarów jak pancierz dawnego rycerza stoi koło ściany z oczyma wlepionymi w koło. To wielkie zwierzę stalowe, od którego gwałtownego obrotu drży hala, jest tu osobą dostojną. Człowiek jest dodatkiem, dozorcą o oczach zaczerwienionych od czuwania. Gdyby się zbliżył zanadto do lśniącego majestatu — zostałby natychmiast zmiażdżony. Ten widok jest jakoby alegorią, odsłaniającą zależność ciężką i nużącą człowieka od maszyny, jej przemoc i potworne panowanie. Zjawienie się nowej maszyny jest hasłem nieraz do złowrogich zmian! Całe rzesze robotników okazują się niepotrzebne. Ludzie odchodzą od warsztatów z próżnymi rękoma! A ci, co zostają, na jakież ciężkie narażenie próby, Drobiazgową pracę, zmusza człowieka do wykonywania drobnych czynności automatycznych, powtarzanych uporeczywie godzina za godziną, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu! Automatyczna ścisłość ruchu staje się jedyną zaletą, której potrzeba!

„Automatów! automatów!” woła miasto współczesne — „coraz więcej automatów, wykonywających pracę codzienną z zaparciem się i poświęceniem dawnych sekt religijnych!” Czy jutro przyniesie wyzwolenie? Czy wytworzy jeszcze sroższe jarzmo automatyzmu? Jutro jest tem, czego niepodobna przewidzieć, lecz fantazja artysty nie pozwala się okiełznać na progę niepewności. Paul Adam opisuje w „La cité prochaine” miasto z muzyką mechaniczną, z eskadrą napowietrzną, posyłającą śmierć staremu światu, z odżywianiem chemicznem i niemal mechaniczną miłością, gdzie kobiety oddają się za prostej uprzejmości, gdzie życie straciło wszelki powab.

Podczas gdy dzisiejsze „miasta-głownogi” (villes tentaculaires) pożerają coraz to nowe zastępy pracowitych automatów, jakże się czuje w tej atmosferze śmierci artysta? „Jaskrawo świeci słońce” — powiada znakomity malarz Whistler — wiatr wieje ze wschodu, niebo próżne od chmur, zewnątrz wszystko z żelaza i artysta odwraca się, zamyka oczy. Lecz oto mgła wieczorna obłoczy brzegi rzeki welonem poetycznym, nędzne budowle gubią się w pociemniałym niebie, wysokie kominy stają się podobne do wież weneckich, magazyny obracają się w pałace, całe miasto, zdaje się, wisi w niebiosach i świat czarodziejek występuje naprzód — wtedy przyroda nuci swą tkliwą piosenkę artyście“.

Jakże charakterystyczne to wynurzenie! Miasto staje się godne wzroku artysty dopiero kiedy utonie w mrokach wieczoru, a raczej kiedy wypływa z mroku w nieskończonych girlandach światła, jak pociąg, który noc podkreśla swemi latarniami“ (René Ghil). Byłoby błędem mniemać, że artystę odpycha jedynie estetyczna szpetota miasta. Jego wstręt płynie z energicz-

nego odczuwania ducha życia współczesnego, którego podstawą jest wrogi sztuce automatyzm. Przebywa on wizyjnie w epokach, kiedy niewolnictwo kapitalistyczne nie było jeszcze tak surowe, buja w marzeniach nieokreślonych albo ucieka na wieś. Jego organizm duchowy jest zbyt wydelikacyony, by znieść nacisk współczesnej maszyny. Nie brak jednak, jeśli nie w polskiej, to w innych literaturach usiłowań, by stworzyć poezję odpowiadającą tendencjom dzisiejszej epoki o wspaniałych zdcieczach technicznych — oddać piękno maszyny współczesnej — aeroplanu, samochodu — i swoją psychologię ludzi, dla których, np. „pożeranie przestrzeni“ jest namiętnością równie gwałtowną, jak w dawnych wiekach prześladowanie kacerstwa.

Na drodze posępnego Baala współczesnego — padają gromady ofiar! Po jego fatalnych ulicach błą-

dzą tysiące ludzi o duszy, na zawsze opustoszonych — nędzą lub nadużyciem. Jego bogacze są zimni jak groby, jego biedacy — opuszczeni, jak rozbitkowie na wyspie bezludnej. Rzecz można, że jeśli biedacy cierpią z powodu nędzy, to bogacze — z powodu przesyty i wypaczenia przez kulturę jednostronną.

Lecz nie tylko pracuje i cierpi miasto-głównog: tu wykuwa się również oręż przyszłości i nadzieja na odrodzenie nie przestaje świecić artyście. „Cóż znaczą, — woła E. Verhaeren w „l'Amé de la ville“ — męki i godziny obłąkane i każde gdzie fermentuje zbrodniczy rozczyn miasta, jeśli pewnego dnia, z głębi mgieł i zasłon, w powodzi światła nowy powstanie Chrystus, który dźwignie ku sobie ludzkosć i ochrzci ją w ogniu nowych gwiazd!“

Leon Choromański.



TEATR.

„Wąsy i peruka“ J. Korzeniowskiego czyli papuzi festyn.

Za pomocą szezypoty taniego waselinowego mydła, wyrobu z bardzo podejrzonej, ale za to swojskiej fabryki, i słomki rozszczepionej na końcu, dobrze poślinionej, cierpliwie dmuchając wydmuchał sobie dyrektor Teatru Polskiego pusty, ale zato kolorowy balonik.

Wszystko się w nim świeci, mieni barwami tęczy, połyska...

Publiczność dała panu Drabikowi przy podniesionej kurtynie zasłużone brawo.

Balonik jest ładny. Jubileuszowe mydło tanie. A o słomce wiemy, że ze szczerem ziarnem, jak dotąd, nie sąsiadowała i do wielkiej sztuki ma zapal istic słomiany.

Tyle tylko dałoby się powiedzieć o wystawieniu „Wąsów i peruki“ w Teatrze Polskim, gdyby wystawienie tej ramoty nie stało się klasycznym papuzim festynem.

Wyobraźcie sobie monstualny papuzi wiec...

Papugi w krzesłach, w łóżkach... Dziesiątki, setki, tysiące nastroszonych, uperfumowanych i urekawicznionych papug... Tesię zachwycają. W klatce scenicznej znajdują się dwa ich rodzaje: kakadu w białych perukach bardziej umiarkowane i czerwone, kontuszowe, krzykliwe, gardłujące. Które zwyciężą? Które są piękniejsze? Problem ten żywo zajmuje papugi siedzące na widowni, wzruszone, przejęte doniosłością chwili.

Gdy jedna z grających kończy widowisko patetycznym okrzykiem, trzymany w nastroju „tłumionych łez“:

„Honor i cześć tej, co przyniosła polskie wąsy nad francuską perukę“, okrzykiem — konkluzją, streszczającą całość, wszystkie zawyrokowały zgodnie, że jestto zdanie wcale nie głupie przeciwnie bardzo wzniosłe i jęły w nim doszukiwać się ukrytego symbolu.

O polskie wąsy, polski łachu, polski bigosie, polska próżności wy zwyciężać musicie! Zwyciężyć wam każde nasza pseudopatriotyczna tromtadracja nad polskim genjuszem, polskim bohaterstwem, polskim talentem.

Tak było, tak będzie.

Wykonanie i reżyserja „Wąsów i peruki“ były bardzo staranne. Wojewodzie pan Jerzy Leszczyński utrzymał się w tonie niezbędnej kontuszowej respectability. Nie minie go w teatrze kasztelanja „dlatego że został wierny obyczajom ojcowiskim“, właściwie nie tyle obyczajom scenicznym, ile akcentem ojca senatora sceny polskiej. Niefortunny rywal jego w zalotach do kasztelanki noszący strój francuski p. Kazimierz Junosza w ruchach i pozowaniu był również bardzo dobry. Inna sprawa, że charakter talentu p. Junoszy dopomina się o repertuar nowożytny.

Rolę Macieja, szatnego — pan Zieliński ożywił i podniósł na poziom rodzajowy nader wysoki. Godnie rywalizował z nim Duclos modysta, ex-fryzjer, wódz partji peruki, jaskrawo-komiczny... p. Zelwerowicz grał tę rolę przepysznie, z humorem i werwą.

Gra pań Słubickiej, Czarneckiej, Mielnickiej, Starskiej i Kozłowskiej odstępiała swą świetność bogatym kostjumom!

III.

„Le veilleur de nuit“ S. Guitry w teatrze Małym.

Jest ich troje: stary pan, profesor Sorbory (ma pieniądze), młody pan, malarz artysta (nie ma pieniędzy), wreszcie młoda przyjaciółka starego pana (jest piękna).

Stary pan dla świętego spokoju chce się zaasekurować przeciw wiarołomstwu swej przyjaciółki, proponuje przeto trójkącik cynicznie — otwarty na zasadach wzajemnej tolerancji. Młody pan czuje się w tej roli głupio.

A ona? Ona wolałaby może młodego, ale niestety, już przywykła do zbytku.

Taka jest niby treść, niby ekspozycja lekkiego, rozbrykanego w stylu parisien ataku na

pozyciwą basztę wyłączności seksualnej.

Pozostawmy rolę moralisty p. Jeske-Choińskiemu, no i urzędowym statystykiem przyrostu ludności we Francji...

Zresztą autor w gruncie rzeczy naraża się moralistom li tylko lekką drastycznością nęcących pozorów. Po czyżej stronie są jego sympatje, o tem sztuka zamilcza. Młody malarz dzielnie reprezentuje instynkt moralny. Atmosfera całej historii alkowiana. Barwa — różowa. Ton wibrujący. Guitry nie sady się na sztuczny dowcip i jest to zalecą jego sposobu pisania.

Sztuki słucha się bez znużenia, zwłaszcza iż grana jest wesoło.

Pannę Kochównę zda się wyciął nożycami z „Journal

amusant“. Młoda artystka w tym rodzaju jest bardzo na miejscu. Pan Orliński przypomniał mi moich dawnych subtelnych, wykwintnych i eleganckich pod każdym względem profesorów z Haute Ecole na rue Guillaume w Paryżu. Mówił swoją rolę bardzo ładnie. Dyrektorowi Pawłowskiemu tym razem należy *zarzucić*, że był zbyt wyrobiony, jak na młodego i nieśmiałego malarza, mimo to, jak zwykle, artysta podbijał swoim wdziękiem widownię.

Pani Wierzejska, jako służąca, robiła raczej Berlin czy Hamburg, niż wesołą Lutecję.

Na premierze nikt nie ziewał, z wyjątkiem pewnego hrabiego, który „widział sztukę w Paryżu“.

JJJ.

„Światło — ruch — ciepło“.

— „Za dużo wystaw!“ chciałoby się zawołać wobec powodzi rozmaitych reklamarskich pokazów, szumnie zwanych się wystawami, a będących faktycznie pokrywką dla chwilowych bohaterów tylko.

Nie też dziwnego, że publiczność z pewną nieufnością przyjęła zapowiedź wystawy technicznej p. n. „Światło-ruch-ciepło“ — zupełnie jednak niesłusznie, gdyż jest to wystawa poważna, celowa i doskonale zorganizowana.

Mysł urządzenia wystawy rzucił zarząd Kasy Techników dla zasilenia funduszów instytucji. Energicznie zakrzętnięto się około wprowadzenia projektu w życie i oto w ubiegłą sobotę (27 b. m.) dokonano otwarcia wystawy.

„Światło - ruch - ciepło“, jako wystawa techniczna, wymaga odpowiednio urządzonego pomieszczenia, słusznie też wydzierżawiono budynek po byłym pałacu Łodowym, gdyż ogromna hala pomieścić może wielką ilość wystawców, poza tem zaś istniejąca instalacja techniczna i pomocnicze ubikacje pozwoliły na łatwiejsze przeprowadzenie koniecznych połączeń i urządzeń.

Cała wystawa zdaje się być głównie polem walki między konkurującymi na każdym polu

źródłami światła, ciepła i ruchu — elektrycznością i gazem. Arystokratyczna elektryczność i stary demokratą — gaz zabiegają o palmę pierwszeństwa, inne zaś materiały świetlne lub opalowe schodzą zupełnie na ostatni plan.

Gościa, wchodzącego na wystawę wita nad bramą domu oryginalny transparent, przedstawiający człowieka pierwotnego, rozdmuchującego ogień. Transparent otoczony jest kołem lampek żarowych, których kolejne przygasanie i rozjaśnianie sprawia wrażenie obrotu koła ognistego, po bokach zaś płoną dwie pochodnie elektryczne, nieco może zajaskrawe i ordynarne w kolorze. Poniżej płoną dwie potężne lampy, zasilane gazem tłoczonym.

W powodzi światła przechodzi się przez podwórko, zdobne w rodzaj bramy tryumfalnej, również płonącej ogniem, po czem jesteśmy w samym budynku wystawy.

W sobotę wieczorem w przed-sionku hali zgromadzili się uczestnicy aktu otwarcia wystawy. Obecni byli: prezydent m. Warszawy p. Müller z pomocnikiem swym K. Zarembą, komitet wystawy w osobach pp.: Piotra Drzewieckiego (prezesa), Bronisława Tyszki, Teofila Lembkego, Bronisława Jungra, Alfonsa Kuehna, dr. Józefa Zawadzkiego, Władysława Lepperta, Jó-

zefa Leskiego, Stanisława Pfeifera, Stefana Andrychiewicza, Gustawa Martensa, Piotra Strzeszewskiego, Stefana Laurysiewicza, Wacława Wańkowicza, Antoniego Kuszelewskiego, Feliksa Puławskiego, Hieronima Kondratowicza, Aleksandra Około-Kułaka; dyrektor wystawy p. Józef Bleszyński i sekretarz p. Fr. Herbst oraz delegaci rozmaitych stowarzyszeń technicznych i przedstawiciele prasy. Wystawa otwarta została dla publiczności z chwilą zapłonicia afiszów barwnych a stało się to w chwili, gdy prezydent miasta z prezesem Drzewieckim wkroczyli na salę.

Wystawcy, jak zwykle, nie byli zbyt punktualni i znaczna część ich nie zdążyła dostarczyć na czas ekspozatów, to jednak, co widzimy w hali sprawia wrażenie dodatnie, imponujące.

Wystawa „Światło - ruch - ciepło“ poza czysto techniczną wartością posiada wielkie znaczenie dla publiczności dzięki objaśnieniom, pokazom i doświadczeniom, dokonywanym na miejscu. Nie wątpimy też, że liczni widzowie pospieszają na nią, my zaś, za pomocą sprawozdań, nieomieszkamy zapoznać z nią szerszego ogółu, zamieszkałego poza Warszawą, a więc mającego większe trudności do zwiedzenia Wystawy osobiście.

K.



Femina

KOBIETA JUTRA I KULT DZIEWICY.

(Dokończenie.)

Obyż wszyscy mieli tak jasny, trzeźwy pogląd na te sprawy, a wówczas nie mielibyśmy sufrażetek i ileż energii, ile dobrej woli i umiejętności przybyłoby społeczeństwu! Nie istniałaby również kwestja „wolnej miłości“, która straszakiem wydaje się umysłom, nie zdającym sobie sprawy, że jest to chorobliwy majak, którym kobieta wojuje — dając w nim wyraz najwyższej swej pogardy dla mężczyzny — jest to policzek dany mu przez niewolnicę, która pragnie odplacić się tą samą monetą, jaką jej kazano żyć tyle wieków. Jest to rozpaczliwy odruch, nie mający nic wspólnego z „ideałem“, wypastowanym przez kobiety pewnej swych sił i człowieczeństwa.

I dlatego „kobieta jutra“ nietylko nie odwróci się od domowego ogniska, ale przystroi go w najcenniejszy klejnot: w prawdę i wiarę — jakże wobec tego „małym“ jest lęk tych, którzy kobietę obniżają, obniżając samych siebie — w imię zagrożonych praw męża i pana! Małym i destrukcyjnym — a czas najwyższy budować — z tem hasłem wystąpił też jeden z głównych współpracowników „La vie“, p. Marius Ary Leblond. Omawiając kwestję ankiety co do wychowania dziewcząt, podkreśla przedewszystkiem wartość „uczuciowości“ tej poezji, która podnosi człowieka na wyżyny i jest istotnym „genjuszem miłości“. W niej widzi odrodzenie Francji, bo wraz z nią zakwitnie idealizm, mogący pchnąć kraj na drogę odrodzenia. Francja zdaje sobie sprawę z tej potrzeby i troszczy się o środki, które ją zdołają zrealizować.

Niebezpieczeństwo płynące z zagrożonego w swych fundamentach małżeństwa, a jeszcze bardziej „rodziny“ (t. j. zmniejszenie się urodzin), wypływa zdaniem p. Leblond'a z tego, że zawiele poświęca się uwagi „kobiecie“, zawiele dając jej miejsca w powieściach i życiu, a za mało troszcząc się o „dziewicę“, która jest właśnie „jutrem“ każdego narodu. Naśladowując amerykańkanów — mówi autor tego interesującego arty-

kulu, — przejęliśmy od nich wiele, oprócz tej czei pełnej powagi, którą otaczają „młodą dziewczynę“.

Dla nas jest to istota bezbarwna, odarta z poezji, czaru, nudna, jednym słowem, przeżytek. W literaturze trzeba sięgnąć do Bernardin St. Pierre, ażeby znaleźć ideał dorównujący Ifigenji z czasów Grecji. Leconte de Lisle musiał sny swe i marzenie przenieść na grunt egzotyczny, aby dać im wyraz w tej formie, jaką dusza jego obrała. W sztuce — drugorzędni malarze tworzą portrety dziewic — nie mamy obecnie ani Greuzy ani Bernardin... „Zbaudelerizowani“, uprawiamy natomiast kult kurtyzany, lub kobiety dojrzałej, gust ten przyszedł wraz z upodobaniem do „martwej natury...“ A przecie trzeba tylko umieć patrzeć i odczuwać piękno i poezję, które czynią z młodej dziewczyny czar życia — ów czar tajemnicy, oczekujący na chwilę, kiedy zapłonie mistycznym kwiatem przyszłości i życia. Poznawać, budzić, podслуchać tę cudną melodję w jej pierwszych nieśmiałych tonach, aż do ostatecznego, pełnego, czarodziejskiego akordu! Czyż nie w tem piękno, którego wyrzekamy się dobrowolnie, pładrując po ścieżkach ogrodu, któremi przeszło już życie, zdzierając brutalnie puch pierwszego kwiecia! Ale gdzie są młode dziewczęta idealne? Gdzie je szukać? — zapytuje p. Leblond.

I jak przystało na optymistę, dodaje zaraz, że każda może być idealną, jeśli mężczyzna potrafi zbliżyć się do niej ze czcią i nie narzucając jej swojej indywidualności — zechce tylko podziwiać i czcić jej własną, obcą z natury rzeczy smutnym stronom życia. „Od nas, mężczyzny zależy, aby otoczyć je atmosferą czaru i dowcipu, z której wrodzona im inteligencja zaczerpnie ożywczych sił, budząc się do pełnego życia...“ Romantycy z doby i po Dyrektorjacie i Cesarstwie wielbili „damy“ i „artystki“ — poeta „jutra“ da wyraz swemu entuzjazmowi w kulcie „dziewicy“. On to sprawi, że godzina

• odrodzenia Francji wybije — bo tylko „czystość“ i „rycerskość“ pozwolą jej dopełnić swego przeznaczenia i tej misji wśród innych narodów — jaką los włożył na jej barki.

Czy istotnie los powołał Francję na przewodniczkę — to już należy do innej dyskusji — z artykułu jednak p. Leblond'a przyswoić sobie powinniśmy bez zastrzeżeń prawdę, że w „młodej dziewczynie“ leży przyszłość narodu i że

lekceważąc pierwszą — depczemy lekkomyślnie po drugiej, że czas już przywrócić należne miejsce dziewczęciu zarówno w literaturze jak życiu, jeśli nie mamy negować tego ostatniego.

Nie kurtyzana, nie kobieta żadna wrażeń odbudują przyszłość narodu, ale ta, która stając się kobietą nie wyrzeknie się nimbu w jaki ją kult narodu przystroił.

K. Łozińska.

K R O N I K A.

Kształcenie uwagi.

Dr. Jotejkówna pionierka pedagogiki eksperymentalnej, kierowniczka międzynarodowego wydziału pedagogicznego i przewodnicząca sekcji psychologii w międzynarodowym Muzeum w Brukseli, w swoim odczycie *nad badaniami doświadczałnymi uwagi* przypomniała nam dawne i zaznajomiła z nowymi, czynionymi przez uczonych i pedagogów całego świata.

Bardzo niedawno, a i dziś może jeszcze obciąża się dziecko winą — i strofuje za nieuwagę.

Dzięki popularyzacji wiadomości pedagogicznych, błąd ten w wychowaniu powinniśmy całkowicie usunąć. Już Rousseau, że pominię tyłu dawniejszych autorów, nawoływał, żeby umiejętnie wzmacniać i wyrabiać uwagę dziecka.

Przez sto lat nie zbyt posunęliśmy się w praktyce. Dość zajrzeć do szkół elementarnych szczególnie na prowincji, żeby się przekonać, w jaki to sposób pobudza się uwagę uczniów. O zainteresowaniu ich nie ma mowy, a suche i niezrozumiałe dla dziecinnego umysłu objaśnienia, bynajmniej na skupienie uwagi rozproszonej nie wpływają.

Z pouczającego odczytu dowiedzieliśmy się, że uczeni, pracując nad uwagą, doszli, że podzielić ją można na różne odcięcia. Na *centralną*, bez której praca mózgowa obejść się nie może; *obwodową*, służącą do obserwacji zewnętrznych; *automatyczną*, która pomaga rachmistrzom w ich uciążliwym

zajęciu i dzieciom do słuchania lekcji. *Słuchową* posługujemy się poniekąd wszyscy, najwięcej muzycy. *Samorodną* wszyscy przez całe życie, a dzieci nią przeważnie.

Skoncentrowaną mają tylko uczeni i pracujący umysłowo.

Rozproszoną wszyscy się posługują.

Syntetyczną, dowolną tylko w najwyższym napięciu naszego umysłu, dowodząc o stanie naszej umysłowości w ogóle.

Bez uwagi *dowolnej* nie może być mowy o wyższym wykształceniu, jest ona bowiem twórczynią wiedzy i matką inteligencji.

O *nią* to więc starać się musimy, *ją* w dzieciach naszych wyrabiać jest naszym obowiązkiem.

Uczynić to możemy jedynie przez troskliwą obserwację dziecka, pamiętając, że mózg tylko to sobie przyswaja, co dogadza jego pojęciu. Zainteresowane dziecko dowodzi szeregiem pytań, że mózg jego zaczyna pracować i wtedy to pomoc nasza jest mu najpotrzebniejsza, ciesząc nas, że uwaga dowolna się rozwija. Anormalne dzieci bowiem mają ją prawie w zaniku, a idjoci są jej całkiem pozbawieni. Zważywszy, że z uwagą łączy się pojęcie i pamięć, zrozumiemy, jak wielkiej wagi zadaniem jest *początkowe nauczanie* dziecka, które decyduje nieraz o całej jego przyszłości. Lekceważąc jak dotąd powszechnie, daję ujemne wyniki, kierowane — pedagogicznie, stanie się — czem być powinno — *umilowaniem nauki*.

Helena Podciechowska.

Jubileusz Jadwigi Dohm.

Kobiece stowarzyszenie niemieckie zorganizowało w Berlinie d. 20 września obchód 80-letnia zasłużonej pionierki na niewie równouprawnienia kobiety — Jadwigi Dohm. P. Mina Cauer referowała działalność jubilatki jako bojowniczkii idei odrodzenia kobiety; p. Zofja von Harbau zatrzymała się nad literacką stroną i zasługą jej dzieł. Jadwiga Dohm, walcząc słowem i piórem o duszę niewieścia, wymagała też wiele od kobiety — w pracy swej p. t. „Matki“ z werwą i przekonaniem głębokim głosi pogłębienie idei macierzyństwa z rozwojem umysłu i ducha kobiecego. Piękne karty poświęca też „starości“, czyniąc ją niejako zależną od własnej woli inteligentnej kobiety. We wnioskach swych zbliża się bardzo do Milforda, mówiąc między innymi: „Bezczynność jest tym narkotykiem, który usypia umysł i poprzedza sen wieczny. Czynić — jest jedyną radością, a radość to samo znaczy prawie, co młodość“. Po za społeczniką i myślicielką, Jadwiga Dohm jest jeszcze poetką i nowelistką. Tom drobnych prac jej p. t. „Plein air“; „Pani Tannhäuser“. „Sibilla Dalmor“, „Historja jednej duszy“, „Pieśń łabędzia“, „Miłość letnia“ — oto ważniejsze utwory tej utalentowanej i subtelnej autorki, są one też dopełnieniem jej owocnej wieloletniej pracy na niewie koniecznych reform w życiu kobiety. Po za tem umiała jubilatka znaleźć czas na obowiązki gospodyni domu (długie lata salon jej słynął z popularności), żony i matki.

Pomimo późnego wieku zachowała umysł jasny, pogodny — sąd trzeźwy i pobłażliwy, stając poniekąd przykładem dla „kobiety nowej“.

K. Ł.

Kobieta w Holandji.

Rok 1913-ty, znamienny dla Holandji z powodu stoletniego obchodu odzyskania niepodległości, uświetnionym został historycznymi uroczystościami i wystawami świadczącymi o wysokim rozwoju handlu, rolnictwa, nauki i sztuki krajowej.

Holenderska kobieta stanęła w szeregu wystawców, godnie reprezentując dział pracy ko-

biecej intelektualnej i społecznej za okres ubiegły.

Statystyka wykazała iż od roku 1872 wydano w Holandji 93 kobietom lekarskie patenty, 66 kobiet otrzymało doktoraty prawa, 66—aptekarskie świadectwa, 25—doktoraty nauk przyrodniczych, 29—doktoraty nauk filologicznych. W roku bieżącym 53 kobiety studjuje nauki techniczne na politechnice w Delft⁴ zaś w szkołach gospodarczych mających program uniwersytecki kształciło się w r. b. 7,724 studentek.

Holenderka pracuje też nie od dziś na niwie społecznej. Dzięki jej niestrudzonej działal-

ności, powstały w całym kraju ruchome biblioteki; tysiączne ochrone i szkółki ludowe jej zawdzięczają swój rozwój, jak również liczne instytucje higieniczne wśród warstw robotniczych.

Toteż każdy najuboższy nawet dom w Holandji łśni od porządku i czystości, zawiaduje nim bowiem rozumna i dzielna gospodyni, znajdująca zawsze czas, poza domowymi i rodzinnymi obowiązkami na kształcenie władz umysłu swego i czerpanie ze skarbcy wiedzy, wskazówek dotyczących zadań wychowawczych i racjonalnego administrowania majątkiem. E. W.

KRÓLESTWO FUTER.

W stroju kobiecym tak niezmiernie skomplikowanym o ile ma być strojem w całym obszernym znaczeniu tego słowa, są 3 działy dostępne tylko i wyłącznie dla kobiet zbytku, dla istot wyjątkowych, którym los zgotował ucztę przepychów i splendorów: *Drogocenne kamienie — klasyczne futra — prawdziwe koronki*. Pierwszy z tych skarbów kryje się w rozlicznych rudach ziemnych lub spoczywa w głębinach fal morskich, skąd chciwa zdobyczy ręka człowieka, wydobywa go z trudem a często z narażeniem życia, drugi skarb to skóry różnych zwierząt żyjących prze ważnie wśród wiecznych lodów i śniegów, zdobywane na nich wraz z ich życiem — trzeci zaś skarb—to prawdziwa ręczna koronka, to owa pajęcza artystyczna tkanka, dzieło rąk kobiecych, dzieło tak bajecznie pracowite i uciążliwe, że bywa nie raz opłacane wzrokiem pracownic. Nie więc dziwnego, że owe trzy najwspanialsze czynniki kobiecego stroju, są tak bardzo drogocenne, że są ostatniem słowem tego, co istota ludzka w *tych zakresie*, posiadać może.

Oprócz materialnej strony, będącej poniekąd zaznaczeniem osobistej zamożności i stygmatem pewnej wyłożonej na to

sumy, trzy powyżej wymienione toaletowe przedmioty są istotnie zachwycająco piękne i wdzięczne. Nic tak nie podnosi — nie akcentuje mody kobiecej jak brylanty, futra i koronki. Jak ładnie wyglądać może kobieta w skromnej płóciennnej lub batystowej sukience, bez żadnej innej ozdoby prócz pięknej pary perłowych lub brylantowych koleczyków, bo perły i brylanty noszą się zawsze i wszędzie, prócz w podróży, wszelkie zaś kamienie kolorowe — szafiry, rubiny, szmaragdy, służą jako strój wieczorny. Tak samo z futrami. Drogocenną sobolową pelerynę, etolę z grono, stał lub szenszylę, można włożyć i na ranną przechadzkę i otulić nią obnażone przy balowym stroju ramiona. Stosowanie do stroju pięknych i prawdziwych koronek, jest już subtelniejsze — zależne od ich gatunków i rodzaju. Tak zwane *valenciennes* noszą się do toalet negliżowych — rozliczne inne rodzaje — *Malinnes, duchesse, Bruxelles, application, Bruges, Point à l'aiguille* i t. p., przybierają toalety strojne. Bardzo stare włoskie *Venise* równają się najcenniejszym kamieniom.

Wracam do futer. Jest to istotne „Królestwo“... wspaniałe,

urocze, przedstawiające wartość niezliczonych milionów, niewyczerpane źródło wielkiego przemysłu i handlu — żywiące krocie ludzi, nęcące najpiękniejsze oczy — strojące najcudniejszą ramiona!.. Królestwo futer — to sobole, bobry, tuma ki, gronostaje foki, skunksy, szenszyle, brejtshwance, karkulki, nurki, astrachany, to — tak modne lisy, srebrne, czarne, niebieskie i białe to cała futrzana rodowa arystokracja, z królewskim sobolem na czele i vicekrólem — lisem srebrnym.

Poza tą śmietanką, jeżeli tak można powiedzieć, znajduje się jeszcze w tem królestwie cały kontyngens futer służących do ozdoby mieszkań — a więc wspaniałe i wspaniałe wyprawne skóry lwów, tygrysów, białych niedźwiedzi, panter, wraz skromniejsze niedźwiedzie czarne — dziki — sarny i t. d. Wszystko to są tak zwane futra klasyczne, najdawniej znane i uznane. Dalej idą futra, skóry i skórki skromniejsze — ale prawdziwe; Opasy, rysie popielice, bieliski tak modne czas jakiś krety i wiele innych — wszystkie do użytku osobistego — to jest do ubrania. Liczbę ich powiększył w tym sezonie lis złoty niezmiernie modny. Jest go parę gatunków — bardzo piękny



Najmodniejsze futra.

syberyjski olbrzymi, o ciemnym puszystym grzbiecie, wzorowo wyprawny i względnie drogi (80—90 rubli) i wiele mniejszy nasz polski, nie tak paradny ale wiele tańszy 20—25 rubli.

Na tem mniej więcej kończy się szereg futer prawdziwych. Następują bardzo liczne imitacje zupełnie tak samo jak w dziale drogocennych kamieni i ręcznych koronek.

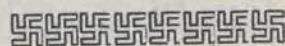
Przy tak silnie dziś rozwinętem, prawie, że chorobliwym zamiłowaniu, do różnych toaletowych luksusów a osobliwie do futer, świecideł i koronek, musiały się komicznie przybory te spopularyzować, to jest stać

się przystępne dla szerszego, mniej wymagającego a co więcej mniej zamożnego ogółu — powstała zatem imitacja, naśladowanie i rozwieleno się na całej toaletowej linii. Króliki, zające koty — imitują skunksy, lisy, gronostaje, szenszyle, nie ma prawie futra, którego sztuka kuśnierska nie podrobiła, jest to zawsze skóra zwierzęca, ale jest to tylko *podrobienie* — najlepiej udają się foki, t. zw. *elektryczne*, nie trwale, ale wyglądające wcale nieźle i bardzo noszone nawet przez *prawdziwie* eleganckie osoby, zdaje mi się, że wyprawiają je specjalnie ze skórek młodych

królików. Foka elektryczna, z obłożeniem z nustrji (młode małpki) i dodaniem gronostaj *prawdziwych*, tworzy bardzo ładną tak zwaną *galanterję* futrzaną, to jest pelerynki, etole, mufki, czapeczki i t. p. nie tania, ale względnie przystępna. To samo dzieje się z klejnotami. Perły t. zw. *Tekla* (specjalna masa) do złudzenia imitują owe spoczywające w morskich głębinach, są drogie — jeden sznurek kosztuje do 100 rubli. Szkło, umiejętnie spreparowane i szlifowane, mieni się blaskiem brylantów, rubinów, szafirów — może to być bardzo ładne, ciągnie i wabi oko... ale jest tylko masą lub szkłem — i niczem więcej — niestety!...

Udoskonalone maszyny do złudzenia naśladowują wyrobami swemi ręczne koronki rozlicznych gatunków są ładne, cieniuchne, brak im jednak tradycji, nakładu pracy rąk kobiecych i subtelności wykończenia..

Marçèle.



Odpowiedzi Redakcji.

Nowej prenumeratorce „Złotego Rogu”. Za uprzejme słowa dziękujemy. Słuchę żadaną odpowiedzią Jaka jest obecnie najmodniejsza bielizna stołowa t. zw. *nappage*? Jak we wszystkim co nas otacza, tak i w tym dziale zbytek zaznaczył swą niestrudzoną i ciągle wzmaganą działalność. W bieliznie stołowej wykwinął zaznacza się głównie w obrusach i serwetkach używanych do herbaty i kawy. Materiał (najmodniejszy biały) adamaszek lniany cieniuchny, połyskujący w piękne kwiaty lub arabski, całe rogi obrusa inkrustowane koronką, *Irlande* lub grubą gipiurą, monogram na środku prese biały, także same *en miniature* serwetki. Obiadowe obrusy w duże inkrustowane w lniany adamaszek koronkowe medaljony, w środku monogram, także serwetki. Jest to ostatnie słowo — stołowej elegancji.

Marçèle.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

XAWERY GLINKA

Prawdziwa przygoda mojego ducha.

NOVELA.

Pewnego popołudnia, właśnie wtedy, gdy szedłem jak zwykle po obiedzie na szklanekę czarnej kawy do modnej kawiarni, Duch mój zauważył, iż jest obleczon w ciało srodze nie odpowiadające jego wewnętrznym zaletom.

Trzeba zaznaczyć, że Duch mój posiada historję i tradycję sięgającą zamierzchłych czasów. Historia powiada o Duchu moim, że przebywał on różnymi czasy w ciałach natehniionych proroków, przeczulonych minstreliów, złocisto-włosych poetów, był raz nawet w ciele przedsiębiorcy pogrzebowego, nigdy jednak nie zniżył się do ciał ludzi, których powołanie nie było ściśle związane z rzeczami tego świata. Na to nie pozwoliła mu ustalona wiekami tradycja.

Ciało, w którym obecnie Duch mój przebywał, jakkolwiek nie łamało szczytnej tradycji, to jednak było tak nędzne i mizerne, że Duchowi memu wszelką radość życia odbierało. Wychudłe, ziemistej cery, składało się z kości starannie skórą obciągniętych, czaszki przesadnie w tył podanej, długiej rozwichrzanej czupryny i pary mocno wpadniętych oczu, przez które Duch mój na ten świat poglądał. Na to wszystko narzucone było ubranie z czarnego, taniutkiego sukna, skrojone jaknajwidoczniej przez największego poetę pomiędzy krawcami i czarny, o wielkich rondach, mocno wyświechtany kapelus.

-- Poprzednie ciała moje, choć były równie nędzne, miały jednak pewne bogactwo w stroju, jakąś fantazję, giest, swadę — pomyślał Duch mój właśnie w chwili,

gdym wchodziłem pomiędzy stoliki modnej kawiarni i zdążałem na zwykłe miejsce, gdzie mnie oczekiwała pewna Dama z półświatka, wielka przyjaciółka gołych poetów i spasionych rentjerów...

Duch mój należał do natur prędkich i szybką też powziął decyzję. Bez namysłu, zanim czas miałem zająć swe zwykłe miejsce przy stoliku, opuścił mnie, a raczej ciało, w które się czasowo przyodziewał. Ciało, które tak nagle wyzionęło Ducha, nie mogąc się utrzymać samo przez się (cóż warte ciało bez ducha!) — runęło do stóp owej Damy z półświatka, tej samej, co mego czekała przybycia.

Tak umarłem, czyli umarło *ciało* moje, w pewne piękne popołudnie w modnej kawiarni. Duch zaś mój *wyzwolony*, nie obleczon w żaden kształt realny — przyczaił się w jednym z kątów kawiarni, pomiędzy wielkim zwierciadłem a papierową palmą i z ukrycia obserwował, o tak, pour passer le temps, co dalej nastąpi.

A w kawiarni wszczął się rumor i zgiewk. Niektórzy z obecnych, co prędzej poczęli płacić i wychodzili, inni znowu ciekawsi cisnęli się do trupa leżącego bezradnie u stóp zmarłej w przerażeniu Damy. Znalazł się nawet jeden co śmielszy, który pod pozorem nadania wygodniejszej pozycji zmarłemu wypróżnił boczne kieszenie kamizelki z paru miedzianych monet, jakieś recepty lekarskiej i pewnej dyskretnej drobnostki. Ktoś inny zemdłonej Damie wylał na dekolt szklanekę lodowej wody.

Wszystko to stwarzało sytuację, której należało co rychlej położyć koniec, by się nie stała nieprzystojnie humorystyczną.

Znalazł się wreszcie ktoś z dawnych znajomych nieboszczyka, co się zajął wdrożeniem porządku, przewiezieniem zwłok, etc.

* * *

Nazajutrz, wszystkie pisma podały smutną wiadomość o zgonie jednego z największych wieszczów narodowych. Posypały się nekrologi, wspomnienia, portrety. W całym mieście wszyscy ubolewali nad dotkliwą stratą, jaką ponosi społeczeństwo.

Wreszcie, po paru dniach rozmaitych ceremonii i obrzędów żałobnych—sprawiono ciału memu wspaniały pogrzeb. Na cmentarzu przemawiało podniosłe wielu z wysokich dygnitarzy miasta.

Przez cały ten czas Duch mój, nie mając nic lepszego do roboty, przyglądał się z boku wszystkim tym śmiesznym (w jego pojęciu) oznakom czci, jakie składano ochłapowi—gnijącego już mięsa. Śmieszyły go grobowe miny obecnych, śpiewy żałosne kleru, nieszczerze łzy przyjaciół.

— Tfu! — pomyślał Duch mój — ja już w tym ścierwie żyć nie chciałem i rzuciłem je jak brudną szmatę—a ludzie się z tym na rękach noszą... (Duch mój często używa wyrażań dosadnych).

To pomyślawszy, wziął wielki rozpęd i wleciał pod niebo. Owionęła go przyjemna fala czystego eteru.

Niewymowną rozkoszą wydały się Duchowi memu takie nieskrępowane loty. To było najprzyjemniejsze, że znikło zupełnie poczucie Przestrzeni. Duch mój nie mógł się zupełnie zorientować, choć w przybliżeniu, jak wielką przebył drogę. Ziemia dawno znikła mu z oczu—otaczały go niebieskie równie.

Zatracając poczucie Przestrzeni, jednocześnie stracił Duch mój poczucie Czasu. Niekiedy wydawało mu się, że już wieki całe jest zawieszony w Nicości—niekiedy, że chwila zaledwie od porzucenia Ziemi upłynęła. Powoli zatracił nie tylko poczucie ale *pojęcie* Czasu.

* * *

Trwanie takie w bezprzestrzeni i bezczasie, chociaż było dziwnie kojące, wydało się Duchowi memu zbyt jednostajnym. Znu-

dziło mu się to wieczne bezcelowe bujanie po błękitnych łąkach... Ogarnęła go szalona tęsknota. Postanowił więc wrócić na Ziemię. Intuicją jakowąś niepojętą wiedziony, obrał Duch mój kierunek lotu — zbliżający go z niezrównaną szybkością ku ziemi.

Było prawie zupełnie ciemno, gdy Duch mój zoczył wylaniającą się z mroków Ziemię. Na razie wydawała mu się małą kulką iskrzącą się niebieskawym ogniem. W miarę tego jak się ku niej zbliżał kulka bledła, zmniejszała się—tak że się wrażenie całości zatracalo i ukazywały się szczegóły tak dziwnie miłe po długiej rozłące. Lasy, łąki, morza, miasta... Wszystko to jeszcze było zamglone, niepewne w linii i plamie, zwolna jednak różowiejące wschodzącym słońcem.

Duch mój postanowił wylądować w swym rodzinnym mieście. W pewnej więc odległości od Ziemi, zmienił kierunek lotu pionowy—i począł unosić się po nad szczytami gór, borów, wieżycami miast...

Słońce już było wysoko, gdy Duch mój spłynął na jedną z głównych ulic rodzinnego miasta. Ruch już był wielki. Tłumy ludzi snuły się po zalanych słońcem chodnikach—ani jednej jednak twarzy znajomej. To zastanowiło mego Ducha.

W witrynie, na wystawie sklepu z przyborami piśmiennymi — widniał olbrzymich rozmiarów kalendarz ścienny. Spojrzawszy nań, Duch mój dowiedział się—że jest to dzień 7 kwietnia roku 2371. Nic więc dziwnego, że ludzie co się tu snują—są mu obcy. Starzy znajomi musieli wszyscy, parę-set lat temu wymrzeć.

I niewymownie przykro zrobiło się memu Duchowi. Poczul się tu zgoła niepotrzebnym. Tak zasmucony, począł się bez celu wałęsać po mieście, bacznie przyglądając się wszystkiemu, co się naokół działo.

Ścisłe biorąc, zewnątrz miasto mało się zmieniło, Te same domy, te same ulice, te same place...

(d. c. n.)

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Ale Paryżanka pokazuje światu tylko te rysy charakteru, które czynią ją godną lekceważenia, cnoty zaś zazdrośnie ukrywa, jakgdyby szczyliła się swem naiwnem zepsuciem. Żle i fałszywie odtworzona w dramatach i książkach, które dbają tylko o styl poetycki, jest ona sobą, nieklamana, prawdziwą tylko w swym pokoiku na poddaszu. Wszędzie indziej jest albo oczerniona, albo przeidealizowana. Bo gdy jest bogata — psują, gdy jest biedna — nikt jej nie rozumie. Bo i jakże zrozumieć ją? Na to ma zbyt wiele wad i zbyt wiele cennych zalet; zbyt łatwo przeszkakuje od całopalenia i abnegacji do wyuzdanego śmiechu; jest zbyt piękna i zbyt odrażająca; zbyt dokładnie uosabia Paryż, któremu dostarcza praczek, stróżek, śmieciarek, żebraczek, czasem impertynenckich hrabin, uwielbionych aktorek, oklaskiwanych śpiewaczek; dwukrotnie za czasów monarchji dostarczyła mu nawet pół-królowych. Któż zdoła ustalić i poznać takiego Proteusza? Jest jednocześnie kobietą. Więc też z portretu jej malarz obyczajów może uchwycić pewne szczegóły, lecz nie całość, bo ta jest nieskończona. Krótko mówiąc, panna owa była gryzетка paryską, gryzетка w całym jej rozkwicie, piękną, młodą, świeżą, o ostrych pazurach, odważną jak hiszpanka, gniewliwą jak cnotliwa angielfka, pełną kokieteryj, niby wielka dama, lecz bardziej szczerą i nie zatrzymującą się w połowie drogi. Miała na sobie zieloną suknię, lekki stanik i kaszmirowy szal; rysy twarzy miała drobne, policzki różowe, cerę białą, oczy błyszczące, szare, czoło bardzo wypukłe, włosy gładko przyczesane.

— Nazywam się Ida. A jeżeli mam honor mówić z panią Juljuszową, to przychodzę powiedzieć jej wszystko — co mam na sercu przeciwko niej. To bardzo brzydko, kiedy się zrobiło karierę, kiedy się ma takie piękne meble, jak pani, odbierać biednej dziewczynie mężczyznę, z którym jestem tak jak zamężna i który obiecał mi naprawić swój błąd *w urzędzie*. Ma pani dosyć młodych i eleganckich ludzi, prawda, proszę pana? Starczy ich na wszystkie pani fantazje i może się pani obejść bez staruszka, który jest całem mojem szczęściem. Bo ja nie mam ładnego *pałaca*, mam tylko moją miłość! *Nienawidzam* pieniędzy, bo tylko serce...

Pani Juljuszowa zwróciła się do męża:

— Pozwolisz, że nie będę dłużej słuchała tego, — rzekła i udała się do swego pokoju.

— Jeżeli ta pani jest *pańska*, tom ją nie-*źle wysypała*, ale co mi tam, — ciągnęła niezmaczona tem Ida. — Bo poco przychodzi codziennie do pana Ferragusa?

— Panienska się myli, — zaprotestował Juljusz, zdumiony. — Moja żona nie byłaby zdolna...

— Ach, to państwo są *pobrane!* — rzekła gryzетка, nieco zbity z tropu. To jeszcze gorzej, prawda, proszę pana? Żeby kobieta, co jest taka szczęśliwa, że ma męża, miała jeszcze stesunki z takim człowiekiem, jak Henryk...

— Cóż to za Henryk? — spytał Juljusz, prowadząc Idę do sąsiedniego pokoju, aby żona nie mogła słyszeć ich rozmowy.

— No, pan Ferragus...

— Ależ on zmarł, — rzekł Juljusz.

— To ci *kumedja!* Wczoraj wieczorem byłam z nim w teatrze i odprowadził mnie do domu, jak zawsze. Zresztą, pańska żona może panu zaświadczyć, że żyje. Przecież była u niego dzisiaj o trzeciej. Widziałam na własne oczy: czekałam na nią przed domem, bo jeden grzeeczny pan, pan Justyn, co go pan może zna... taki stary, ma breloki i nosi gorset, ostrzegł mnie, że mam rywalkę, jakąś panią Juljuszową. Przepraszam pana, nie wiedziałam, że to pańska żona, ale gdyby pani Juljuszowa była nawet księżną, to Henryk może ją zaspokoić, bo jest strasznie bogaty. Ale ja muszę bronić się i mam do tego prawo, bo kocham Henryka! To moja *pirsza* miłość, mój jedyny skarb. Ja się nikogo nie boję, bo jestem uczciwa i nigdy nikogo nie skłamałam ani nie okradłam. I choćby sama cesarzowa weszła mi w drogę, to poszłabym do niej; a gdyby mi odebrała mojego przyszłego męża, tobym ją chyba zabiła, bo wszystkie kobiety są równe, proszę pana...

— Dosyć! dosyć! — krzyknął Juljusz. — Gdzie panienska mieszka?

— Ulica Corderie-du-Temple № 14, proszę pana. Ida Gruget, gorseciarka, do usług pana dobrodzieja, bo robimy gorsety i dla panów.

— A gdzie mieszka ten tam Ferragus?

— Kiedy, proszę pana, — odparła Ida, krzywiąc się, — to nie żaden *ten tam*. To bardzo bogaty pan, bogatszy może od pana dobrodzieja. Ale na co pyta się mnie pan o adres, kiedy może się pan spytać żony. Pan Ferragus nie nie pozwala dawać nikomu swojego adresu. Ja nie jestem obowiązana powiedzieć panu. Dzięki Bogu, nie jestem u spowiedzi, ani w policji, i mówię tylko to, co sama zechcę.

— A gdybym dał paniencie dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści tysięcy franków za jego adres?

— Gadaj pan zdrów, mój panie! — rzekła, ilustrując tę dziwną odpowiedź łobuzerskim gestem. — Za żadne pieniądze nie powiem tego. Kłaniam się panu dobrodziejowi. Gdzie tu wyjście?

Juljusz, oszołomiony, nie zatrzymywał jej. Wydawało mu się, iż świat zapada się pod nim, a niebo rozpada się na kawałki.

— Obiad podany, — zaanonsował lokaj.

Dwaj lokaje napróżno oczekiwali przez kwardrans w jadalni państwa.

— Pani nie będzie jadła obiadu, — zawiadomiła wreszcie pokojówka.

— Cóż to się stało, moja panno Józefo? — spytał lokaj.

— Nie wiem, — odparła. — Pani rozplakała się i położyła do łóżka. Pewnie pan miał jakąś

kobietkę na mieście i to się teraz wykryło. I z panią teraz jest bardzo źle. Bo ci mężczyźni to *takie grubjany!* Ciągłe wyprawiają jakieś sceny...

— To nieprawda, — zaprotestował lokaj przyciszonym głosem. — To właśnie pani, co... no, panna Józefa pewnie rozumie... Jak pan mógłby mieć kogoś na mieście, kiedy od pięciu lat raz tylko nie spał obok pani. A od rana do samego śniadania siedzi w swoim gabinecie i pracuje. Każda jego godzina, każdy jego krok jest wiadomy. Tymczasem pani codziennie wychodzi, Bóg wie dokąd.

— I pan także codziennie wychodzi, — rzekła, pokojówka, biorąc w obronę swą panią.

— Bo pan chodzi na giełdę... Ale co to jest, że już trzeci raz mówię mu, że obiad na stole, a on nie; jak głuchy...

W tej chwili do jadalni wszedł Juljusz.

— Gdzie pani? — spytał.

— Pani położyła się, ma migrenę, — odpowiedziała pokojówka, przybierając tajemniczy wyraz twarzy.

Wówczas Juljusz, siląc się na spokój, rzekł do służby:

— Możecie zbierać ze stołu. Nie będę jadł obiadu.

I udał się do żony, którą znalazł płaczącą, z chustką przy oczach.

— I czegoż pani płacze? — zapytał Juljusz. — Nie obawia się pani chyba z mojej strony wybuchów albo wyrzutów. Za cóż miałbym się mścić. Jeśli nie była mi pani wierną, to znaczy, że nie była pani godną mojej miłości...

— Nie byłam godną!

Powtórzyła, jak echo, te okrutne słowa, wśród łkań, które wrzuciłyby każdego innego człowieka, ale nie zawiedzionego męża.

— Na to aby panią zabić, musiałbym niewątpliwie kochać panią mocniej, niż ja kocham, — ciągnął nieubłaganie dalej. — Ale nie czuję w sobie na to dość odwagi... Wolę zabić się sam, pozostawiając panią jej szczęściu i... i komu, dokładnie nie wiem...

Nie dokończył.

— Chcesz się zabić! — krzyknęła Klementyna, rzucając się Juljuszowi do nóg i obejmując je.

Lecz on, aby uwolnić się z tego uścisku wstrząsnął nią i odepchnął.

— Proszę mnie zostawić, — rzekł.

— Nie, nie, Juljusu! — krzyknęła. — Jeśli przestałeś kochać mnie, to wolę umrzeć. Czy chcesz wiedzieć całą prawdę?

— Tak, chcę.

Podniósł ją, siadł na brzegu łóżka i mocno ujął jej rękę. Potem gniewnym wzrokiem spojrzął na jej piękną twarz, w tej chwili czerwoną jak ogień i zroszoną łzami.

— No, proszę, — rzekł.

Znów rozległy się łkania Klementyny.

— Nie, to tajemnica, nie mogę. Gdybym ci powiedziała... Nie, nie mogę. Zlituj się, Juljusu.

— Znów mnie pani zwodzi?

— *Pani!*.. Już mi nie mówisz ty! — krzyknęła. — To prawda, Juljusu, wolno ci mówić, że cię zwodzę, ale niezadługo dowiesz się prawdy.

— Ależ, jeżeli ten Ferragus, ten galernik, którego odwiedzasz codziennie, nie jest twoim kochankiem, jeżeli nie oddałaś mu się...

— Ach, Juljusu, jak możesz tak mówić?

— W takim razie jest on tym nieznanym dobroczyńcą, człowiekiem, któremu zawdzięczamy nasz majątek, jak już kiedyś mi powiedziano?

— Któż to powiedział?

— Ktoś, kogo zabiłem w pojedynku.

— O, Boże! już jeden trup...

— A jeżeli nie jest twoim opiekunem, jeżeli nie daje ci pieniędzy, tylko przeciwnie, bierze od ciebie — to z jakiej racji. Czy to twój brat, czy co?

— A gdyby to był mój brat?..

Pan Desmarets skrzyżował ręce na piersiach.

— Dlaczegoż ukrywano by przedemną, że masz brata? Poco oszukiwalibyście mnie wraz z matką? Zresztą, któż odwiedza codziennie brata? Żona leżała zemdlna u jego stóp.

— Ach, umarła!.. A jeżeli moje podejrzenia niesłuszne?

Porwał za sznur od dzwonka, zawołał Józefę i położył Klementynę do łóżka.

— Nie przeżyję tego — rzekła pani Juljusowa, odzyskawszy zmysły.

— Józefo, krzyknął pan Desmarets, — proszę sprowadzić doktora Despleina, a potem iść do mojego brata i poprosić go, żeby przyszedł jak najprędzej.

— Po co wzywasz brata? — spytała Klementyna.

Ale Juljusz był już w drugim pokoju.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 7.— „ „ 3.50 „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ 10.— „ „ 5.— „ 2.50
Za odosłanie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście — 75 k. Reklamy — 40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki — 30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Głisczyńska

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Mańlankiewicza, Nowogrodzka 17.